



Magdalena
Zawadzka
Tak
jestem
i ja!

WSPOMNIENIA



DZIECIŃSTWO

Kocham zdjęcia. Pobudzają wszystkie moje zmysły. W jednej sekundzie ożywają wspomnienia. Wracają zapomniane koloryt, zapach i nastrój utrwalonej na zawsze chwili. Ale fotografie z wczesnego dzieciństwa niewiele mi mówią. Nie rozpoznaję siebie w tej malutkiej dziewczynce. Nie wyobrażam sobie nawet, że mogłam mieć taką zabawną fryzurkę z lokiem pośrodku głowy.

Najwcześniejsze wspomnienie to moje piąte urodziny. Stoję na schodkach prowadzących do domu, w którym mieszkałam z rodzicami, w mojej ulubionej sukience w pomarańczowe wzorki (nazywałam ją „w marchewki”) i uświadamiam sobie z dumą, że właśnie kończę pięć lat. A wcześniejsze wspomnienia to raczej ich błyski, nie wiadomo czemu tak wyraźnie zapamiętane. Wielkie, ciężkie drzwi wejściowe z mosiężną gałką, której nie mogłam dosięgnąć. Rodzice wychodzili do pracy wcześniej niż ja do przedszkola. Nie miał kto mnie odprowadzać, szłam więc sama. Zatrzaśnięcie za sobą tych wielkich ciężkich drzwi było ponad moje siły. Prosiłam przypadkowych przechodniów o pomoc i gdy wreszcie udało się je zamknąć, ruszałam w drogę, w daleki świat. Ten daleki świat to przedszkolny budynek tuż za parkiem, w którym przerażała mnie ukryta w krzakach budka wysokiego napięcia z trupią główką na drzwiczkach. Mama prosiła, żebym nigdy nie zbliżała się do tej budki, bo może mnie porazić prąd. Posłusznie

To ja – Magdalena Zawadzka w wieku dwóch lat!



Elegancka od stóp do głów.

ją omijałam, ale upiorna trupia główka, wyzierająca z krzaków, utkwiała mi w pamięci.

Te codzienne wyprawy do przedszkola były moimi pierwszymi krokami w samodzielność. Od najmłodszych lat rodzice traktowali mnie jak życiowego partnera. Nie stać ich było na sztab nianieek czy służących czuwających nad każdym moim krokiem. Byli młodzi, pracowali, równocześnie studiując, i mieli mnie. Godzili jak mogli wszystkie obowiązki, oczekując ode mnie zrozumienia. Uświadamiali zagrożenia, tłumaczyli konieczności w tak przystępny sposób, że rozumiałam, dlaczego tak musi być. Staralam się więc być odpowiedzialna i nie zawieść ich zaufania. Robiłam to tak wiarygodnie, że w końcu uznali mnie za mądrą, posłuszną i dzielną małą dziewczynkę. Nie wiedzieli jednak, że w dążeniu do tej dzielności codziennie pokonuję wiele barier przerastających kilkuletnie dziecko. Jedną z nich był strach.

Nasz dom stał w ogrodzie, wśród drzew i krzewów. Wieczorami, gdy często zostawałam sama, ciemne okna stawały się przepaściami pełnymi poruszających się, tajemniczych zjaw. Bałam się straszliwie, ale wstydziłam się do tego przyznać. Ponadto nie lubiłam słuchać uspokajających i według mnie bezsensownych wyjaśnień na temat braku podstaw do lęku, jakimi raczyli mnie dorośli, którzy szybko zapominają, że kiedyś byli dziećmi i tak samo się bali. Ten strach pozostawał moją wielką tajemnicą. Aż pewnej zimowej nocy wszystko się wydało. Tańcząca w ciemnym oknie zjawa zmaterializowała się w postać złodzieja, który usiłował otworzyć drzwi od werandy. Rozdzierający krzyk i szok, jaki przeżyłam, uświadomił rodzicom, że moja dzielność i odwaga to tylko pozory. Tamtej pamiętnej nocy pożegnałam się raz na zawsze z poczuciem bezpieczeństwa i tylko czasami udaję, że je mam.

Pewnego dnia, wczesną wiosną, spotkała mnie zapierająca dech w piersiach niespodzianka. Kiedy otworzyłam drzwi wejściowe, ujrzałam tatę i grzecznie stojącego przy nim psa. Był to duży płowoczarny owczarek alzacki, niezwykle piękny. Patrzył na mnie uważnie wielkimi brązowymi oczami. Jego uszy postawione były na baczność, a niziutko opuszczony ogon zdradzał wielką czujność. Wszedł w nasze progi godnie, bez pośpiechu i nerwowości. Prowadzony przez tatę na smyczy i w kagańcu obwąchał wszystkie kąty, mamę i mnie, a potem przysiadł taktownie z boku, czekając na dalszy rozwój wypadków. Nie wiedział przecież, że jest już naszym psem i że to będzie jego dom. Dopiero gdy próbowaliśmy umościć mu poślanie pod sto-





Przedstawiam moje dwa psy: Azę i Norika.

obok: Czy nie wyglądam tu jak Halka z opery Moniuszki?

łem, szukać misek na picie i jedzenie, zagadywać i sprawdzać, czy rozumie, co się do niego mówi, zaczął niejasno przeczuwać, że ta uradowana jego obecnością trójka ludzi chce go przyjąć pod swój dach. Po wyjaśnieniach taty, że to specjalnie tresowany pies obronny i musimy być ostrożne, bałyśmy się z mamą go pogłaskać. Ale na szczęście trwało to krótko. Najeżony i groźny postrach okolicy w domu zmieniał się w łagodnego baranka. A ja wreszcie poczułam się bezpieczna.

Szatan, bo tak go nazwaliśmy, został moim przyjacielem i obrońcą. Pilnował domu, w nocy spał przy moim łóżku, był wspianiałym partnerem do zabaw, rozumiał wszystko, wręcz zgadywał myśli, i właściwie nie umiał tylko mówić. Poza tym kochał mnie wierną psią miłością, dając codzienne dowody cierpliwości i wyrozumiałości. Tolerował moje nieustające wizyty pod stołem, tarmoszenie za uszy, czesanie ostrą szczotką, przecieranie oczu watką i inne kosmetyczne zabiegi, uwłaczające może psiej godności, ale świadczące o tym, że jest kochany.



Rodzice z naszym ukochanym Szatanem.

Po lekcjach pędziłam do domu, bo czekał na mnie mój pies. Brałam rower i wyruszałam z Szatanem na przejażdżkę po parkach i ulicach. A te ulice były piękne i bezpieczne. Rzadko przejeżdżał nimi samochód, a kwitnące wiosną magnoliowe drzewa odurzały zapachem. Gnaliśmy więc co koń wyskoczy, a potem odpoczywaliśmy pod jabłonią w naszym ogrodzie. Było to tajemnicze miejsce, pełne zakamarków. W każdym z nich świat pachniał inaczej. Pod oknem bez, na końcu ogródka jaśmin i forsycja. Przy płocie nasturcje i dzika róża. W rogu – delikatne drzewko czeremchy, kwitnące bladnoróżowymi kwiatuszkami. Szatan nie odstępował mnie na krok. Szczególnie lubił asystować przy wiosennych porządkach w ogrodzie. Sprawdzał i obwąchiwał rozkopaną przez ojca ziemię, warczał na ptaki wyjadające z grządek robale i nasiona, rozgrzebywał spopieliałe resztki ogniska. W zdumienie wprawiały go moje wielogodzinne akrobacje na trzepaku i łażenie po drzewach. Czekał cierpliwie z zadartym łbem i od czasu do czasu tylko szczeekał, jakby chciał powiedzieć: „Złaż, nudzę się sam na dole”.

Najwspanialsze były niedziele. Chodziliśmy na dalekie wycieczki do lasu, na grzyby i jagody. Jeździliśmy nad jezioro na pikniki i na nocne wyprawy na raki. Wracaliśmy z nich ogromnie zmęczeni, a najbardziej chyba Szatan, bo ledwo czołgał się do domu. Wszyscy kochaliśmy takie aktywne spędzanie wolnego czasu. Sprawność fizyczna rodziców bardzo mi imponowała.



Tata jako mistrz Warszawy juniorów
w jeździe figurowej na lodzie, 1936.

Oboje biegali, pływali, jeździli na rowerze, grali w tenisa i ping-ponga. A mój tato Andrzej Zawadzki trzykrotnie, w latach 1935–1937, zdobył młodzieżowe mistrzostwo Warszawy w jeździe figurowej na łyżwach, a w roku 1938 zdobył tytuł mistrza Polski juniorów w tej dyscyplinie sportu. Ponadto trenował boks i walki wręcz oraz motorowodniactwo, latał na szybowcach i żeglował, więc ani mama, ani ja nie zdziwiłyśmy się wcale, gdy kupił kajak, żeby trochę powiosłować. Pływaliśmy nim, wraz z psem, wzdłuż pięknych, porośniętych trzciną i nenufarami brzegów Odry, rzeki mojego dzieciństwa.

Pierwszych jedenaście lat życia mieszkałam w Szczecinie, w pięknej dzielnicy Pogodno. Powojenny wyjazd rodziców na Ziemię Odzyskane był bardziej koniecznością niż radosnym, wolnym wyborem. Cała nasza rodzina, rodzice także, pochodzi z Warszawy, więc tęsknota do najbliższych i do miasta ich młodości towarzyszyła im przez cały okres pobytu w Szczecinie. Mnie również udzielał się ten dziwny nastrój tymczasowości i podświadomie czułam, że powrót do stolicy wcześniej czy później jest nieunikniony.

Życiorys rodziców to klasyczny przykład losów pokolenia Kolumbów. Moja mama, Danusia, była córką Jadwigi i Mieczysława Szubańskich, a mój ojciec, Jędrrek, synem Heleny i Felicjana Zawadzkich. Wzrastali w niepodległej Polsce. Zostali wychowani w duchu praworządności, uczciwości



Moja mama Danuta Szubańska i mój tata Andrzej Zawadzki.

i patriotyzmu. Znali i kochali przedwojenną Warszawę tak bardzo, że nawet po wielu latach wspominali ją jako jedno z najpiękniejszych miast świata. Mama uczyła się na prywatnej pensji pań Gaczeńskiej i Kacprowskiej, tata w Gimnazjum im. Władysława IV.

Wybuch wojny położył kres ich beztroskiej i pełnej planów na przyszłość młodości. Podczas okupacji obie rodziny – Szubańskich i Zawadzkich – należały do Armii Krajowej. Gdy wybuchło Powstanie Warszawskie, ojciec jako dowódca plutonu w kompanii „Zemsta”, należącej do batalionu „Pięść” w zgrupowaniu „Radosław”, pseudonim „Butny” i „Andrzejewski”, brał udział w ciężkich walkach na Woli, Starówce i w Śródmieściu. Towarzyszył mu rodzony brat mamy, Zbyszek Szubański. Kanały były ich drogami komunikacyjnymi, a głód, choroby, strach i zagrożenie życia – codziennością. Z licznych odznaczeń wieńczących wojenne dokonania ojca najważniejszymi są: srebrny Krzyż Kawalerski Virtuti Militari, złoty Krzyż Zasługi z Mieczami, dwukrotne odznaczenie Krzyżem Walecznych oraz inne. Trudno je wszystkie wymienić.

Ślub rodziców w kościele Niepokalanego Poczęcia
N.M.P. w Warszawie, marzec 1943.





Po upadku powstania został wzięty do niemieckiej niewoli i jako jeniec znalazł się w oflagu VII A w Murnau. Po wyzwoleniu obozu zgłosił się do armii generała Władysława Andersa. Po ponadrocznym pobycie we Włoszech, gdzie służył w oddziałach pancernych jako oficer 6. Pułku Pancernego Dzieci Lwowa, potem 3. Pułku Pancernego Ułanów Śląskich, wraz z wojskiem dotarł do Anglii. Natomiast mama podzieliła los warszawiaków wysiedlonych z własnego miasta po upadku powstania. Miała wielkie szczęście, że nie rozdzielono jej z rodzicami. Zabrali ze sobą resztki ocalałego dobytku i dwa ukochane pieski – pekińczyki: Kajtka i Muzę. Oficerowi SS tak spodobała się Muza, że mama zmuszona była mu ją oddać. Gdy – uformowani w kolumnę wraz z innymi wygnańcami – dziadkowie i mama opuszczali Warszawę, minął ich jadący samochodem ów oficer SS. Muza siedziała na miejscu pasażera, z tabliczką czekolady w pysku.

Bydłące wagony wywiozły moich najbliższych daleko od spalonego domu i zrujnowanej stolicy. Dlatego przyszłam na świat w Filipowicach pod Krakowem, w biednej chałupie państwa Świąszków, którzy dali schronienie wygnańcom. Mama urodziła mnie w strasznych, prymitywnych warunkach, na wiązce słomy przykrytej papierową torbą po soli. W czasie porodu nastąpił krwotok i mama omal nie umarła. Uratowały ją okłady z lodu, który dziadek przyniósł z potoku. Ze strachu przed każdym następnym dniem dziadek ochrzcił mnie tuż po urodzeniu. Dał mi imię Magdalena, bo zawsze uważał je za najpiękniejsze. Dziękuję, Dziadku! Też bardzo mi się ono podoba. Dopiero tydzień później ochrzczono mnie w kościele.

Zaczęły się dla dziadków i mamy miesiące strasznej nędzy. Dziadkowie wyprzedawali resztki skromnego dobytku, imali się wszelkich robót, a przede wszystkim opiekowali się mamą i mną. Mnie, bądź co bądź, było najlepiej. Głodu podobno nie cierpiałam, bo chudziutka jak patyczek mama karmiła mnie piersią, a ponieważ sypiałyśmy razem, chroniła mnie przed zimmem. Natomiast wilgoć była nie do pokonania. Po ścianach płynęła woda, ubrania gniły, a pieluchy i sienniki nigdy nie wysychały. Od pierwszych miesięcy życia w pamięci mojego ciała wilgoć zakodowała się jako coś obrzydliwego i do dziś jej nie cierpię. Cały ten koszmar rekompensowało dobre serce gospodarzy, dzięki którym jakoś przetrwaliśmy długi pobyt pod Krakowem.

Na warszawskiej ulicy – moi rodzice piękni i eleganccy nawet w czasie okupacji.



Mama i ja.

Dziadkowie i mama wyszli z powstania z jednym tobołkiem, w którym pomieścili to, co ocalało, a do Warszawy powrócili z dwoma: tym drugim byłam ja. Gdy miałam dwa lata, przyjechał z Londynu mój ojciec. Wrócił do nas, do rodziny, bo plan sprowadzenia mamy i mnie do Anglii nie powiódł się. Mama wpadła w łapy UB. Na szczęście udało się ukryć za tapetą dokumenty dotyczące wyjazdu. Przesłuchiwał ją osobiście pułkownik Józef Różański. Cud, że wypuścił ją na wolność. Tata wrócił, żeby ratować mamę. W Polsce perspektywy miał marne. Chciał studiować, ale w Warszawie – z tą kartą wojenną i bez dachu nad głową – nie miał żadnych szans. Stąd pomysł wyjazdu do Szczecina, gdzie rodzice mieli więcej możliwości życiowego startu. Studia ojca w Wyższej Szkole Ekonomicznej, na wydziale transportu morskiego, a potem praca w Polskiej Żegludze Morskiej zatrzymały nas na długie lata w tym portowym mieście.

Odległość Szczecina od Warszawy do dziś wydaje mi się ogromna, a mimo to byliśmy w bardzo bliskim kontakcie z całą rodziną w stolicy. Poza nieustannie krążącymi listami i paczkami krążyliśmy również i my. A to babcia, mama mojej mamy, zjeżdżała na dłużej do Szczecina, by przejąć gospodarstwo i opiekę nade mną, podczas gdy rodzice wybierali się do Warszawy na spotkania z resztą rodziny i przyjaciółmi. To znów ja jecha-



Moja klasa w szkole podstawowej w Szczecinie – w pierwszym rzędzie, szósta od lewej to ja!

łam do dziadków na zimowe lub letnie wakacje. Byłam życiową szczęściarą, bo miałam dwie pary dziadków i byłam ich ukochaną wnuczką. Pamiętam radosne podniecenie, jakie towarzyszyło mi, gdy zapakowana do pociągu relacji Szczecin–Warszawa, polecona opiece konduktora i pasażerów, słyszałam sakramentalne „Gotów-odjazd!”. Migające światła, poruszenie i zgiełk budzące mnie w środku nocy świadczyły o tym, że jestem już w Poznaniu, czyli w połowie drogi do szczęśliwego celu.

Moje częste i długo trwające pobyty w domu dziadków Szubańskich zaliczam do najpiękniejszych wspomnień z dzieciństwa. Uwielbiałam gościć w ich małym, ciasnym mieszkaniu na Grochowie, na które składały się: przedpokój, toaleta i jeden słoneczny pokój. W jego rogu wygospodarowali kuchnię. Poza kilkoma podstawowymi meblami, takimi jak szafa, stół, krzesła i dwa łóżka, nic więcej nie można było w nim zmieścić; babcia z dziadkiem dosłownie objali się o siebie i o sprzęty. A mimo to jeszcze ja się tam mieściłam.



Mama mamy Jadwiga Szubańska.

Racjonalizatorskim pomysłem okazało się codzienne ślanie łóżek i wściełanie tam wszystkiego, co mogłoby w ciągu dnia przeszkadzać i robić bałagan. Poranne porządki kończyło usadowienie na posłanych łóżkach moich lalek i misiów. Lubiłam spać razem z babcią. Było mi ciepło i bezpiecznie. Cichutko tykał wiszący na ścianie zegar i wybijał godziny, nieuchronnie przybliżające poranek.

Dziadek codziennie wstawał o szóstej i włączał radio. Jeszcze przez sen słyszałam różne komunikaty, delikatną muzykę i krzątanicę związaną z myciem i szykowaniem śniadania. Potem rozpoczynała się poranna gimnastyka radiowa, prowadzona przez Karola Hoffmana. Dziadek nigdy jej nie zaniedbywał. Po skłonach i wymachach w ruch szły hantle i sprężyny do rozciągania. Leżąc jeszcze w łóżku, uwielbiałam patrzeć na ten gimnastyczny rytuał. Mój dziadek, Mieczysław Szubański, był przed wojną znanym zapaśnikiem i sędzią tej dyscypliny sportu. Ukochane zapasy uprawiał amatorsko. Był uczniem słynnego Pytlasińskiego i na swoim sportowym koncie miał walki z Garkowienką. W nieoficjalnej walce pokonał słynnego mistrza Teodora Sztekera. Ale, co tam Sztekker! Dla mnie dziadek był najsilniejszym i najwspanialszym na świecie mistrzem! Po wojnie, w 1951 roku, uległ ciężkiemu wypadkowi samochodowemu. Wprawdzie dzięki niebywałej sile i kondycji fizycznej uszedł z niego z życiem, ale już na zawsze został kaleką. Był więc na rencie i dużo czasu spędzał w domu.

Babcia również nie pracowała i cały swój czas poświęcała mi. Słuchaliśmy razem gaworzącego przez cały dzień radia, które nadawało mnóstwo słuchowisk i piosenek. Znałam je na pamięć i ochocho wyśpiewywałam przy każdej okazji. Tylko ukochaną piosenkę dziadka *Walczyk Warszawy* śpiewałam specjalnie dla niego. Z zapartym tchem śledziłam losy Plastusia w odcinkach *Plastusiewego pamiętnika*, wspaniale czytanego przez Irenę Kwiatkowską. Natomiast bajki, nadawane przez radiowy teatr dla dzieci, a szczególnie o Liczyrzepie, rozbudzały moją już i tak wybujałą wyobraźnię.

Nie przypominam sobie, żebym się nudziła. Potrafiłam bawić się sama, najprostszyimi zabawkami, chociażby takimi, jak drewniane klocki. Pomaganie babci w sprzątanii czy szyciu też było raczej zabawą niż obowiązkiem. Dużo czasu spędzałam na podwórku. Piaskownica, skakanka, gra w klasy, akrobacja na trzepaku, podchody, zabawa w chowanego – to klasyka gatunku sprzyjająca dziecięcej integracji i wyrabianiu sprawności.

Na tym samym piętrze, prawie drzwi w drzwi mieszkały siostrzenice babci, moje ukochane ciotce – Alinka i Hania Zarzyckie. Były pięknymi młodymi dziewczynami i potrafiły godzinami bawić się z małą dziewczynką, którą wtedy byłam. U dziadków nigdy nie czułam się samotna.

W czasie pobytu w Warszawie babcia postanawiała mnie odżywić, bo żebym nie wiem jak dobrze wyglądała, dla niej zawsze byłam za chuda. Gotowała więc potrawy zdrowe i pożywne: kasza manna na gęsto, polana domowym sokiem, z kilkoma wisienkami na okrasę, rosół ze starannie wybranej i kupionej na targu kury, kluski domowej roboty, pierożki, pyzy, naleśniki, mięso, warzywa, surówki, żurawinowe kisiele. Wszystko to miało mi dodać tężyzny i siły na przetrwanie stołówkowej doli w Szczecinie. Raz w tygodniu kobieta ze wsi przynosiła jajka prosto od kury, mleko prosto od krowy, masło, biały ser i śmietanę. Zakup tych produktów zapowiadał



Tata mamy Mieczysław Szubański.



Babcia Jadwiga, mama i ja ze starannie wyprasowaną kokardą.

przygotowania do pieczenia, albowiem prawdziwą specjalnością babci były ciasta. W ciągu tygodnia piekła „takie byle co”, kruche ciasteczka z dziurką, natomiast w sobotę, gdy czołowe miejsce w kuchennym kąciku zajmowała emaliowana miska, wiedziałam, że w planach jest sernik wiedeński lub placek drożdżowy. Smaku i zapachu ciast mojej kochanej babci nie zapomnę do końca życia. Dziadek uwielbiał zakalec, więc marzył, żeby ciasto się zaziębiło i klapnęło, ale dla babci zakalec był przykrością i plamą na honorze, więc pragnęłam, żeby ciasto się udało.

Dziadkowie bardzo mnie kochali i starali się, jak mogli, umilić mi pobyt w Warszawie. Chodziliśmy na filmy dla dzieci do kina 1 Maj i na spacer po mieście. Wychodząc ze mną, dziadek zwykł mawiać: „Idziemy popatrzeć na moją kochaną Warszawę”. Naprawdę ją kochał i swą miłością do tego miasta zaraził mnie na całe życie. Na początku lat pięćdziesiątych stolica była jeszcze bardzo zniszczona. Dziadek opowiadał mi historię obróconych w gruzy budynków i nieistniejących już ulic. Z babcią odwiedzałam ciotkę, wujków i dziadków Zawadzkich, którzy mieszkali prawie na końcu świata, bo aż na Ochocie, przy ulicy Słupeckiej 4. Dzięki wizytom u znajomych babci na Pradze poznałam ocalałe, stare, przedwojenne mieszkania.



Mama taty Helena Zawadzka i tata taty Felicjan Zawadzki.

Wysokie, mroczne, pełne ciężkich mebli, obrazów i bibelotów, z oknami wychodzącymi na podwórka-studnie. Ciemne, odrapane klatki schodowe, na murach ślady po kulach, rynsztoki; jakże to wszystko różniło się od naszego tonącego w zieleni domu w Szczecinie i wesołego, pełnego słońca mieszkanka dziadków na Grochowie przy ulicy Stanisławowskiej 75.

Robiliśmy również dalsze wyprawy niż na Pragę. Wyjazd do centrum miasta babcia planowała przynajmniej tydzień wcześniej. Było to dla mnie wielkie przeżycie. Wkładałam najlepszą sukienkę, a babcia malowała usta i robiła sobie grzanym na gazie żelazkiem fale. Drżałam ze szczęścia na myśl, że wsiądziemy w tramwaj i pojedziemy na zakupy do CDT-u, a może nawet przystanek dalej, i popatrzę na Pałac Kultury, który ku zgrozie rodziny wydawał mi się zjawiskowo piękny. Mój syn, Jasiek, gdy był mały, tym razem ku mojej zgrozie, myślał podobnie. „A cóż to za piękny zameczek?“, zapytał, gdy zobaczył go po raz pierwszy.

Najbardziej jednak lubiłam jazdę tramwajem przez Pragę. Droga obfitowała w atrakcje, które dobrze znałam, ale nie mogłam się doczekać, żeby je znowu zobaczyć. Gdy mijało się kolorowy, tętniący życiem bazar Różyciego, znany mi z wypraw po kurę na rosół, w oddali lśniła złotem ogromna



Po rodzicach odziedziczyłam między innymi zamiłowanie do sportu.

kopuła cerkwi, tajemnicza jak baśnie z tysiąca i jednej nocy. Potem misie na wybiegu i w tle Ogród Zoologiczny, do którego mogłabym chodzić nawet codziennie. Jadąc przez most, patrzyłam z góry na Wisłę, która w odróżnieniu od groźnej, ciemnej Odry była błękitnozielona i wesoła. Za mostem Mariensztat – jasny, nowiutki, miniaturka dużego miasta – i szczyt atrakcji: ruchome schody, którymi wolno mi było jeździć w tę i z powrotem.

Przeżycia związane z latem 1955 roku przeszły moje najśmielsze oczekiwania. Wielobarwny tłum z całego świata zjechał do Warszawy z okazji Międzynarodowego Festiwalu Młodzieży i Studentów. Szare, skromne i niezbyt bogate w atrakcje miasto rozkwitło. Radosne podniecenie udzielało się wszystkim. Było kolorowo, wesoło, wszędzie rozbrzmiewała muzyka i wielojęzyczny gwar. Różnorodność imprez odbywających się w dzień i w nocy sprawiała, że nie było czasu na odpoczynek. Biegałam z rodzicami, trzymana mocno za rękę, żeby się nie zgubić, z jednej imprezy na drugą, szczęśliwa, że tak dużo się dzieje. „Rozmawiałam” w różnych językach, nie znając oczywiście żadnego, z młodymi ludźmi z drugiego krańca kuli ziemskiej, podziwiałam ich występy i swobodę, z jaką się zachowywali, zbierałam autografy. Ten rozbawiony, kolorowy świat, który tego lata zagościł w Warszawie,





zawrócił mi w głowie zupełnie i wyzwolił tęsknotę za czymś niezwykłym, dalekim od codzienności.

Ponieważ obejrzałam wtedy przedstawienia dwóch wspaniałych cyrków, chińskiego i radzieckiego, podjęłam życiową decyzję, że zostanę cyrkową akrobatką. Pomysł natychmiast wprowadziłam w czyn. Zaczęłam chodzić na zajęcia kółka baletowego i akrobatycznego i ćwiczyć, by w przyszłości jako kobieta-guma jeździć w srebrnym cekinowym kostiumie na występy po świecie.

Marzenia o cyrkowej arenie spełniły się. Dwa razy w życiu, w 1976 i 1994 roku, brałam udział w wielkich imprezach charytatywnych *Artyści dzieciom*. Wprawdzie nie zostałam kobietą-gumą, ale tresowałam foki.

Pewnej jesiennej nocy 1956 roku obudził mnie niepokojący ruch w naszym domu. Przez uchylone drzwi, w smudze światła, zobaczyłam rodziców słuchających przemówienia transmitowanego przez radio. Jeszcze tej nocy ojciec wyjechał do Warszawy. Od mamy dowiedziałam się, że było to przemówienie Gomułki i że zaczyna dziać się coś bardzo ważnego. Do tej pory rodzice starali się trzymać mnie z daleka od kłopotów, jakie mieli z racji swoich przekonań politycznych i wojennej przeszłości. Chronili mnie również przed stalinowską indoktrynacją nawet na szczeblu przedszkolnym. W tym jednak wypadku uznali, że należy mi się dokładne wyjaśnienie zarówno sytuacji politycznej, jak również podjętej przez nich decyzji. W ciągu niespełna roku zamierzali opuścić Szczecin i nareszcie wrócić do domu – do Warszawy.



PATRONAT
MEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIII



cena 49,90 zł



www.magnesy.com.pl